

KONRAD T.
LEWANDOWSKI

SAGA
O KOTOŁAKU
KSIN. POCZĄTEK

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014
Text © copyright by Konrad T. Lewandowski, 2014

Ilustracje na okładce *Kerem Beyit*
Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

1

POJEDYNEK

Przeciągłe, wibrujące wycie wilkołaka rozległo się gdzieś w głębi mrocznego matecznika.

Śpiew słowika urwał się, ucichły świerszcze. Nawet wiatr zamarł i wszystkie cienie znieruchomiały. Tylko wielki, okrągły księżyc trwał niewzruszony, siejąc mocną złocistą poświatę.

Ksin przystanął na moment i zwrócił głowę w stronę, z której dobiegł go głos. Ocenił odległość. Było blisko. Za blisko.

Ruszył dalej. Długim susem przesadził strumień i biegł, prawie nie dotykając spiczastych traw. Śpieszył się, lecz to nie strach go poganiał. Powodem był Korzeń. Korzeń dla Starej Kobiety, która tak bardzo go potrzebowała. Czuł, że czasu już mało, i dlatego chciał zdążyć. Musiał zdążyć.

Wypadł spomiędzy drzew na niewielką polanę i stanął jak wryty. Instynkt tylko na chwilę wyprzedził wzrok. Teraz zobaczył. Przypadł do ziemi, jeżąc sierść na grzbiecie.

„Jednak nie biegłem dość szybko” – pomyślał, patrząc na kształt, który wynurzył się przed nim.

Wilkołak był zaskoczony – szedł przecież śladem człowieka, już wyobrażał sobie świeżą krew i ciepłe, drgające jeszcze mięso, a tu...

Dwie pary świecących oczu niemo wpatrywały się w siebie: czerwonosine wilkołaka i zielonkawę Ksina.

„Odejdzie czy nie odejdzie?” – zastanawiał się Ksin.

Wilkołak nie odchodził. Nie mógł się zdecydować. Czuł człowieka, a widział kotołaka, i nie pojmował tego. Najwyraźniej był zbyt głodny, aby zważać na zmysł Obecności. Świeżo przekształcony, jeszcze nienasycony drapieżca, równie dziki, co głupi.

Ksinowi obrzydło czekanie. Poderwał się nagle i runął wprost na tamtego. Chciał tylko wolnej drogi, nie zwady. Odbił się i wyprężył jak struna, przelatując wysoko nad łbem wilkołaka.

I to był błąd – nie docenił napastnika. W ułamku sekundy parszająca pianą mordą znalazła się tuż pod nim, a obnażone kły wbiły się w jego udo, nieomal wyrrywając kawał ciała.

Ksin zwinął się w kłęb i runęli na ziemię, która aż jęknęła od podwójnego ciosu. Drzewa zatrzęsły się od przeraźliwego ryku, który wypełnił cały las.

Zakręcili się w opętańczym tańcu, a strzępy darni i fontanny ziemi rozpryskiwały się na wszystkie strony. Zwarli się ciasno i miotali tak gwałtownie, że Ksin nawet nie usiłował wyciągnąć pazurów. Każda próba uwolnienia łap mogła zakończyć się tylko w jeden sposób – ucieczką wilkołaka wraz z częścią nogi Ksina. Nie miał więc wyjścia, wypuścił trzymany w paszczy Korzeń i ostro skręcając łeb, wgrzył się w krtań napastnika. Wycie zamieniło się w charkotliwy bełkot.

Gdyby miał zęby takie jak te, co wpiły się w niego, byłoby już po walce, ale jego były krótsze i tkwiły w dużo

mniejszej paszczy. Jednak zrobiły swoje – wilkołak puścił i w tym samym momencie uczynił to Ksin.

Odskoczyli od siebie.

Ksin prychnął i warknął gardłowo. Odpowiedziało mu tylko chrypienie wilkołaka. Rzucił kilka szybkich spojrzeń – nigdzie nie dostrzegł Korzenia. Nie było czasu na poszukiwania. Kotołak wyprostował się i powoli unióś ramiona. Napiął mięśnie. Miękkie opuszki rozchyliły się i potężne szpony w księżycowej poświacie rozbłysły jak polerowana stal.

Wilkołak zamilkł, sprężył się i zaszarżował, rozchylając szczęki. Kły przeciw pazurom. Starcie było szybkie jak myśl, ale Ksin był jeszcze szybszy i nie popełnił już błędu. Dwa błyskawiczne, zamaszyste ciosy zerwały napastnikowi z pyska wszystkie mięśnie i ścięgna, odsłaniając nagą kość oraz wrośnięte w nią zęby, które bezsilnie chwyciły powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą stał Ksin.

Wilkołak zarył łbem w trawę i przekoziółkował przez plecy. Natychmiast wstał i znów zaatakował, tym razem z wysoko. Spotkali się w powietrzu.

Skóra na ramieniu kotołaka rozdarła się z trzaskiem, ale dwa jego pazury trafiły wprost w jedno z sino jarzących się ślepi i wyrwały je razem z kawałem kości czaszki.

Jęk wilkołaka w niczym nie przypominał już tego, co Ksin usłyszał na samym początku – teraz była to przerażliwa skarga upiora. Na wpół oślepiiony zaczął się cofać w stronę drzew, ale rozjuszony kotołak nie pozwolił mu uciec. Pałący ból w nodze i łapie zaćmił wszystko oprócz pragnienia zemsty.

Wykorzystał zdobytą przewagę i zaszedł wilkołaka od strony wylupionego oka. Rwał, gryzł i szarpał, czując, jak ciało tamtego ustępuje pod jego szponami. Ogarnęły go zwierzęca radość i uniesienie. Prawdziwa rozkosz mordowania. Jej szczyt nastąpił wtedy, gdy tylne pazury Ksina rozpruły wilkołakowi brzuch i zaplątały się w jelitach. Na krótko, bo te porwały się niczym marne sznureczki.

Nareszcie odstąpił i spojrzął na swoje dzieło. Potwór leżał bez ruchu, nie wydając żadnego dźwięku, ale żył. Moc Onego skupiła się nad nim, ogniskując światło księżycza, które utworzyło wyraźny, oddzielny snop, łączący powaloną bestię ze świecącą wysoko na niebie tarczą.

Ksin podlegał tym samym prawom i wiedział, że oznacza to, iż żadna z ran, które zadał, nie jest tak naprawdę śmiertelna, i chociaż starczyłoby ich do zabicia dziesięciu zwykłych ludzi, to jednak wilkołak ozdrowieje jeszcze tej samej nocy, a potem pójdzie za nim...

I rzeczywiście: wyprute wnętrzności zaczęły się poruszać, początkowo bezładnie, lecz już po chwili, niczym wielkie białe glisty, z powrotem wpełzały do otwartego brzucha. W trawie coś zaszleściło. Ksin nie musiał patrzeć, aby się upewnić, że to toczy się owo skrwawione oko, wlokąc za sobą odłupany kawałek czaszki.

Nie miał ochoty na nową walkę i wiedział, co powinien zrobić. Podszedł bez pośpiechu i oparł lewą łapę na gardle leżącego. Prawą uderzył mocno. Zwarł pazury, ściskając żebra i mostek jak chrust, w jeden pęczek. Pociągnął. Rozległ się ostry, wielokrotny trzask i chrzęszczące młasknięcie. Cisnął na bok wyrwany ochłap, po czym sięgnął

po odsłonięte, trzepoczące źródło życia i mocy... Posoka bluzgnęła na boki.

Kotołak podniósł się z sercem pokonanego wroga w łapach i patrzył. Tylko trzy rzeczy mogły pokonać nekrokreatywną moc Onego: srebrny pocisk, miedziane ostrze albo pazury istoty pokrewnej – właśnie takiej jak on.

Rozerwał zdobycz na strzępy niczym kawał szmaty i rozrzucił. Skutek był natychmiastowy. Struga opalizującego światła postrzępiła się i zgasła, a wszelki ruch ustał. Zerknął w dół. Przemiana już się cofnęła. U stóp kotołaka leżał teraz zmasakrowany trup człowieka. Ksin przyjrzał się mu dokładnie: twarzy właściwie nie było, ale dłonie zabitego świadczyły, że musiał to być młody mężczyzna, mniej więcej w jego wieku.

„Rodzina nie odnajdzie go i nie rozpozna – pomyślał. – Nikt nigdy nie dowie się prawdy o nim...”.

Zaniepokojony, ocknął się z zadumy. Stracił zbyt wiele czasu!

Pośpiesznie odszukał Korzeń i pobiegł w noc.

2

PRZYGODA ZA WSZELKĄ CENĘ

Wazon z barwnej karyjskiej porcelany z trzaskiem rozprysł się na ścianie i osypał gradem tęczowych okruchów.

– Zatem mój los został przypieczętowany, czy tak?! – wybuchła piękna Aspaja, córka Kadora, uszlachconego kupca. Jej ojciec był jednym z najbogatszych przedsiębiorców Katimy, stolicy królestwa Suminoru. Dziewczyna obróciła się na pięcie, zamiatając pokój falbanami sutej sukni, chwyciła szkatułkę z zielonych kości morskiego diabła i cisnęła nią o podłogę. Wieczko odpadło, rozsypały się znajdujące się wewnątrz jadeitowe słoiczki z pachnidłami. Jeden z nich rozjuszona Aspaja kopnęła pod łóżko.

– Co chcesz tym osiągnąć, moja panno? – zapytała spokojnie Fija, jej piastunka. – Jak dotąd wystraszyłaś tylko biednego Kasina... – Starsza kobieta pochyliła się i podniosła najeżonego kota, czystej krwi drzewołaza ronijskiego. Zwierzak miał czarne futro w jagodowym odcieniu i wbrew słowom Fii wcale nie wyglądał na wystraszonego, raczej przeciwnie, był gotów przyłączyć się do figli swej pani i też coś strącić lub poszarpać. I tak zresztą od dawna wszelkie szkody spowodowane przez impulsywną Aspaję przypisywano właśnie jemu. A że nikt nie

ośmielił się karcic kocura, co najwyżej pan domu sarknął czasem, że trzymanie półdzikich drzewołazów w mieście musi się skończyć potłuczeniem zastawy oraz podartymi firanami. Faktem, że zniszczone przedmioty rzadko nosiły ślady kocich pazurów, nikt się zbytnio nie interesował.

– Och, mój Kasino! – Aspaja chwyciła zwierzaka i wtuliła twarz w jego futro. – Nie gniewasz się na mnie, prawda? Prawda, że nie?

Zwierzak nie miał ochoty na pieszczoty, więc wyrwał się stanowczo i zeskoczył na łóżko. Jeśli suknia miała pozostać cała, lepiej było nie przytrzymywać go na siłę. Tak naprawdę Kasino był w tym domu jedyną istotą, którą traktowała z prawdziwym respektem. W zamian mogła liczyć na codzienną daninę z upolowanych w nocy nietoperzy, wśród których czasem zdarzały się i porońce, co wzbudzało wielkie przerażenie wśród służby. Drzewołazy były rasą kotów ukształtowaną samoistnie na pograniczu Puszczy Upiorów i nie obawiały się pomniejszych tworów Onego. Ponadto znacznie lepiej od zwykłych kotów wyczuwały demony i sygnalizowały ich obecność. To główny powód, dla którego chętnie widziano je w roli strażników pokoi dziecinnych, pomimo szkód, jakie czasem wyrządzały. Oczywiście na pełnej krwi drzewołaza stać było tylko najbogatszych.

Fija uklęknęła i zaczęła zbierać rozrzucone słoiczki.

– Cóż ci zawiniły pachnidła? – zapytała zrzędliwie. – Bywasz doprawdy nieznośna...

– I jeszcze rozkapryszona, płocha, uparta, złośliwa... – wyliczała na palcach Aspaja. – Tak, wiem, taka właśnie

jestem! I chcę taka być! A gdybym nie była dziewicą, to jeszcze mogłabym być namiętna, wyuzdana i rozwiązła!

– Po ślubie będziesz mogła sobie pozwolić, na co tylko zechcesz – odparła piastunka. – Wystarczy, że urodzisz Warikowi dziedzica, a będzie ci wszystko wolno, jak wszystkim wielkim damom.

– Będę się nudzić jak one!

– Wiele na twoim miejscu chciałoby takiej nudy.

– Ale ja nie chcę! Nie zamierzam się nudzić ani nikomu niczego rodzić! A jaki mam wybór?! Albo wyjdę za mąż za kupca, albo zostanę królewską nałożnicą.

– Wciąż jeszcze masz szanse. Król ostatnio przyglądał ci się dłużej niż innym pannom.

– Jednak w końcu wybrał Danezję. I Danezja już chodzi z brzuchem, wielki mi przywilej! Ani myślę jej zażdrościć.

– Zatem czego ty chcesz, moja panno?

– Przygody.

– Stolica zapewnia wiele przygód.

– Ale nie takich! Ja chcę dotknąć istoty życia i śmierci. Chciałabym na własne oczy zobaczyć Zbójeckie Knieje i Puszcę Upiorów, a nie tylko czytać lub słyszeć o nich krwawe opowieści. Chciałabym choć raz w życiu tam trafić...

– Wielu chce stamtąd uciec.

– Wcale nie, ludzie tam żyją! Są osady, miasta...

– I ghule zamiast cmentarzy.

– Chciałabym zobaczyć żywego ghula. Choćby i powąchać.

– Doprawdy dziwne masz pragnienia, moja panno.

– A nawet zobaczyć wampira! – kontynuowała za-
perzona Aspaja. – Oczywiście bezpiecznie otoczona sil-
nym męskim ramieniem... Pamiętam, że kiedy Kasino
upolował pierwszego porońca, strasznie się wystraszyłam
i zarazem poczułam, że lubię strach... To takie mocne,
przenikliwe uczucie... Zawsze oszczędzano mi strachu...
ja chcę go więcej...

– Głupia jesteś, moja panno!

– Nie taka głupia, by nie wiedzieć, czego chcę. Chcę zo-
baczyć Rohirre, zobaczyć potwory! Poczuc ten dreszcz...
przygodę...

– Twój ojciec nigdy się na taką podróż nie zgodzi.

– Wiem, nie jestem aż taka głupia. Jednak to właśnie
on nauczył mnie, jak się zdobywa to, czego się pragnie.

– Zamierzasz więc uciec z domu, szalona dziewczyno?!

– Dam się porwać.

– Komu?

– Temu młodemu magowi, który ostatnio tak gorliwie
zabiegał o protekcję mojego ojca. Wczoraj podczas kolacji
bardzo ciekawie opowiadał o potworach. On byłby dla
mnie doskonałym przewodnikiem i opiekunem.

– Mówisz o Galionie? Przecież on chce zrobić karierę
w stolicy, po to właśnie przyjechał do Katimy i stara się
wkraść w łaski twojego ojca. Ktoś taki miałby porwać cór-
kę swojego dobroczyńcy i uciekać z nią jako banita w Zbó-
jeckie Knieje?

– A co, jeśli nie zrobi tej kariery? – rzuciła od niechce-
nia Aspaja.

– O czym ty mówisz, moje dziecko?

– Byłam dziś rano w gabinecie mojego ojca...

– I co zrobiłaś? – Fija zamarła nad skorupami wazonu, powoli uniosła głowę. Znała dobrze ten ton swojej podopiecznej i wiedziała, czego się po nim spodziewać.

– Posłużyłam się pieczęcią papy. Nikt niczego nie zauważył.

– Co zrobiłaś?! Ale przecież... ale przecież Galion prosił twojego ojca o list polecający do Akademii Magów – przypomniała zaskoczona Fija. – Chciał, aby uznano jego dysertację o jakichś potworach szczególnego rodzaju...

– Odczłowieczeńcach – dopowiedziała Aspaja.

– On sądzi, że ta dysertacja zapewni mu wielkie uznanie i posadę wykładowcy w stołecznej Akademii...

– Ja mam inne plany! – ucięła Aspaja. – Nie potrzebuję żadnego mistrza magii w Katimie, tylko przewodnika w ostępach Rohirry.

– Na Reha, dziecko drogie! Co ty zrobiłaś?!

– Zamieniłam listy.

– Jak to?

– Galion prowadził swoje badania w Bal, mieście na pograniczu Puszczy Upiorów i Zbójeckich Kniei, a swoje spostrzeżenia wysyłał w listach do Katimy, do tutejszego maga Mordara, mistrza z Akademii Magów. Ten udawał jego przyjaciela i mentora, ale odkrycie przypisał sobie.

– Słyszałam o tym – odparła Fija. – Prowincjonalny mag twierdzi, że sławny mistrz ze stolicy ukradł wyniki jego badań nad upiorami. Przyjechał do Katimy, aby dowieść swojego pierwszeństwa, i prosił o wsparcie twojego ojca...

– Który się na to zgodził.

– Ale ty, moja panno, zamieniłaś listy!

– Papa chciał mieć swojego człowieka w Akademii Magów, ja chcę czego innego. Papa nigdy mi niczego nie odmawiał, więc nie powinien się gniewać...

– Naprawdę to zrobiłaś?!

– Dziś wczesnym rankiem. Ojciec ma zwyczaj dyktować listy w nocy, bo, jak mówi, wtedy jest największy spokój i można zebrać myśli. Zapieczętowane pisma czekają do rana, kiedy przychodzi sekretarz Sedik i zajmuje się ich rozsyłaniem. Ja przysłałam trochę wcześniej...

– I...?

– I napisałam, że czcigodny kupiec Kador jest całkowicie przekonany o pierwszeństwie badań mistrza Mordara i prosi o możliwie dyskretne zamknięcie całej tej przykrej sprawy, bez wymieniania nazwiska Kadora. Potem wysłałam jeszcze własny liścik do mistrza Mordara, w którym powiadomiłam go o poparciu mojego ojca i oznajmiłam, że w przyszłości, jak na kupca przystało, dostojny Kador oczekuje odwzajemnienia tej przysługi. W ten sposób papa będzie miał swojego człowieka w Akademii, a ja swojego przewodnika.

– I mówisz mi o tym tak otwarcie, zepsuta dziewczyno?!

– Oczywiście, przecież ty jedziesz ze mną.

– Ja?!

– Ty i Kasino. Nie mogę przecież podróżować bez służącej i ulubionego pupila. Postaram się więc, aby Galion porwał całą naszą trójkę.

– Zaraz pójdę do twojego ojca i wszystko mu opowiem.

– Nie pójdziesz.

– Dlaczego nie, moja panno?

– Bo na początek powiem, że rzuciłaś na mnie czary.
Fija pobladła. Tak ciężkie oskarżenie groziło okrutnym wyrokiem.

– Nie rzuciłam żadnych czarów, niczego mi nie dowiedziesz – powiedziała drżącym głosem. Choć chciała, nie była w stanie ukryć lęku.

– To ty jesteś głupia! – Aspaja tupnęła nogą. – Wiesz dobrze, że wystarczy jedno moje słowo. Przeciw słowu niewolnicy...

– Ty wiesz?

– Wiem. Już dawno temu znalazłam w papierach ojca twój akt własności. Zostałaś kupiona, kiedy byłam mała, i przeznaczona mi do wszelkich usług. Podarowano mi ciebie, a od kiedy skończyłam piętnaście lat, mogę cię sprzedać, komu zechcę.

– Byłam dla ciebie jak matka...

– Nie pochlebiaj sobie. Jesteś tylko gadającym narzędziem, tak napisano na tym papierze.

– Jak możesz...

– Wszystko jest towarem, jak zwykł mawiać mój ojciec. Ty też, a nawet ja. Tylko że ja nie dam się sprzedać żadnemu Warikowi za kilka nowych koncesji. Może potem, jak już wrócę z Rohirry. Być może prędko zacznę tam tęsknić za stołecznym luksusem i rolą klaczy rozplodowej rodzącej dziedziców. Na razie jednak będzie tak, jak chcę, a chcę przygody! Takiej jak z kart rozbójniczej opowieści, ale prawdziwej!

– Znam cię od małości, od kiedy ledwie zaczęłaś chodzić. Nigdy bym nie sądziła, że potrafisz być tak wyrachowana.

– Jestem córką kupca, więc umiem rachować. Widziałam wiele razy, jak papa kupuje i sprzedaje bele sukna, zwierzęta i ludzi. Największą głupotą jest nie zrobić interesu, kiedy on sam się pcha w twoje ręce, lub powstrzymać się od niego z powodu głupich sentymentów. Tego właśnie nauczył mnie papa.

– Nie poznaję mojej małej dziewczynki...

– Bo ja jestem już kobietą! Kobieta, która wie, czego pragnie. No, może jeszcze nie całkiem kobietą, ale temu można łatwo zaradzić... Galion będzie niepokieszony, kiedy się dowie, że Akademia mu nie uwierzyła i jego kariera w stolicy przepadła z kretesem. Ktoś go wtedy powinien pocieszyć, prawda?

Fija nie zdołała nic na to odpowiedzieć. Tylko stała i patrzyła szeroko otwartymi oczami.

– Pamiętam wszystko, czego mnie uczyłaś – mówiła dalej Aspaja. – Tego, jak powinnam objawiać mężczyźnie moje powaby... Po południu lub wieczorem przyjdzie odpowiedź z Akademii, więc to stanie się dziś w nocy, a o świcie ruszamy... No nie stój tak! – ponagliła piastunkę i tupnęła nogą. – Zaczynij już pakować potrzebne rzeczy. Przecież nie dam się porwać w jednej koszuli! Ale też... – zawahała się – weź nie za wiele rzeczy, żeby Galion nie pomyślał, że wszystko zostało ukartowane... Najlepiej weź biżuterię, ją łatwo będzie sprzedać i kupić potrzebne rzeczy po drodze. No, nie stój tak! Jesteś tu po to, by mi służyć, po nic innego. Bierz się do roboty!

– Tak, pani... – Fija skłoniła się pokornie.

3

WYGRANA ŚMIERĆ

Między drzewami pojawił się zarys chaty. Ksin przyśpieszył. Po chwili las był już za nim. Ogarnął go lęk. Kiedy odchodził, Cienie Śmierci błąkały się jeszcze na skraju zarośli. Teraz podeszły aż pod sam dom. Bezkształtne i nieokreślone, snuły się, polatywały, aby zaraz rozplynać się w powietrzu i znowu ukazać. Dopóki trwała pełnia, widział je, później potrafił jedynie odczuć ich obecność, tak samo jak pies przewidujący nieuchronny zgon swego pana. Jednakże ani teraz, ani wcześniej nie było w jego mocy rozproszyć je lub przegonić – istniały tylko jako pewien rodzaj emanacji umierającego.

Starając się nie patrzeć na zawieszony nad drzwiami Znak, chyłkiem przestąpił próg i przypadł do łóża.

Stara Kobieta z wysiłkiem otworzyła oczy.

– Jesteś... – wyszeptwała.

Pochylił się do przodu i otworzył pysk. Korzeń spadł na posłanie. Jej dłoń drgnęła, przesunęła się i szukała, aż w końcu palce natrafiły i rozpoznały poskręcany kształt. Uśmiechnęła się słabo.

– Za późno, synku... – Powiedziała to bardzo cicho, ale wyczuł w tych słowach i żal, i ulgę zarazem.

Wcześniej obawiał się tego, ale teraz, gdy ujrzał Cienie, zyskał tę straszną pewność, która napelniła mu duszę rozpaczą. Stara Kobieta osłabła tak bardzo, że nie mogła już sama przyrządzić sobie leku, a jego potężne, lecz niezgrabne łapy nie wykonałyby tej delikatnej czynności. Do chwili, w której odzyskać miał ludzki wygląd, brakowało jeszcze kilku godzin.

Był bezsilny. Położył łeb na skraju postania i czekał. Nic innego nie mógł zrobić. Cienie Śmierci przeniknęły już przez ściany i tańczyły w izbie.

Ręka Starej Kobiety uniosła się i opadła na jego głowę. Gładziła krótką sierść, muskała uszy. Gdy natrafiła na kosmyk sztywny od zakrzepłej wilkołaczej krwi, znieruchomiała na moment. Potem znów poczuł słabnącą pieśczętę. Zrozumiał, że domyśliła się wszystkiego.

Czas upływał i nic się nie zmieniało, tylko Cienie ocierały się już o niego. Zamknął ślepia, by na nie nie patrzeć.

– Cieszę się, że jesteś przy mnie – usłyszał nagle zupełnie wyraźnie.

Były to jej ostatnie słowa. Dłoń, którą czuł na sobie, opadła bezwładnie. Cofnął się, spojrział. Stara Kobieta leżała z zamkniętymi oczami i już nie oddychała. Cienie zniknęły.

Gdyby był wilkołakiem, być może zawyłby teraz, lecz on nie umiał nawet ronić łez. Potrafił za to kochać.

Pochylił się i zaczął lizać jej stygnącą rękę. Tę dobrą rękę, którą, choć nigdy nie sprawiła mu bólu, pokrywała sieć głębokich bruzd – starych śladów jego klów i pazurów.

Siedział tak, odrętwiały ze smutku i żalu, i nawet nie zauważył godzin, które minęły. Dopiero lekki dreszcz, który wstrząsnął jego ciałem, przypomniał mu o tym, co miało stać się za chwilę...

Tępy ból ocknął się gdzieś w głębi mózgu i narastał, pulsując szkarłatem. Rósł, potężniał, nadymał się, rozsadzając czaszkę, i nagle, jak lodowaty piorun, strzelił wzdłuż kręgosłupa.

Ksin wydał zdławiony skowyt i padł, skręcając się w drgawkach. Pysk i łapy ogarnął żywy ogień. Kości gięły się i zwijały jak wiotkie gałązki, a mięśnie puchły i sztywniały na przemian. Zęby cofały się w głąb szczęk, te zaś zmniejszały się w spazmatycznych zrywach. Miał wrażenie, jakby wydzierano mu oczy, miażdżono palce i nogi. Sierść kryła się w rytm Przemiany pod obrzmiałą skórą.

Nareszcie cierpienie przesiliło się i szybko zaczęło słabnąć. Po chwili w miejscach objętych Przemianą pozostało już tylko delikatne mrowienie, które wkrótce znikło. Ksin podniósł się z podłogi i usiadł.

Mógł już tylko płakać...

Ukrył twarz w dłoniach i bezgłośnie szloch wstrząsnął jego barkami.

Dopiero dotkliwy chłód poranka kazał mu wreszcie pomyśleć o sobie – był przecież zupełnie nagi.

Wstał i sięgnąwszy po ubranie, które zdjął tuż przed pełnią, zaczął się pośpiesznie ubierać. Gdy skończył, znów spojrzał na ciało Starej Kobiety. Teraz dopiero dotarło do niego, jak bardzo jest samotny.

„Nie ma jej, już nie ma...” – Poraziła go nowa fala smutku. Ostatni raz popatrzył na tę dobrą twarz, ucałował lodowate policzki i okrył ciało.

Rozejrzał się po izbie, znalazł sznur i jeszcze kawał tkaniny. Zabrał się do roboty.

Niebawem leżał przed nim podłużny, nieforemny tłumok.

Stał wyprostowany, jasnowłosy, a jego zielone oczy zapatrzyły się gdzieś, hen, daleko w przeszłość...

– Tak długo była tu przy mnie... była zawsze... – powiedział cicho do siebie. – Jakże to wszystko się zaczęło?

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks: 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel.: 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.*

Redakcja *Sylvia Sandowska-Dobija*
Korekta *Agnieszka Rybczak-Pawlicka, Ewa Mościcka*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12539-2

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Nasza Drukarnia ???